

LIŚCIE NA WIETRZE

Moja rodzina

Przez długie powojenne dziesięciolecia nikt nigdy nie powiedział, że kazano „kresowianom” spakować rzeczy w ciągu parudziesięciu minut, zostawić swój życiowy dorobek i wynosić się ze swoich domów, że pod konwojem powieziono ich w nieludzkich warunkach na wojenną tułaczkę, poniewierkę i śmierć. Nie wspomniano o stracie najbliższych, o młodzieży umierającej na galopujące suchoty, o dzieciach zagłodzonych na śmierć, o sponiewieranej i upokorzonej starości... o wielu krzywdach się nie mówiło.

Byliśmy mieszkańcami wołyńskiej ziemi. Nasi pradziadowie żyli, pracowali i umierali tutaj. Byli Polakami, walczyli o polską mowę, kulturę i zachowali polską tradycję. Nosili się z polska i dumni byli ze wszystkiego, co świadczyło o ich polskości.

Represjonowano ich za to. Konfiskowano majątki, pozbawiano praw i tytułów, zsyłano na Sybir, zamykano polskie szkoły i kościoły. Wiele wycierpieł, nim doczekali niepodległej Ojczyzny.

Pochodzę z rodziny wojskowego osadnika i byłego legionisty Marszałka Józefa Piłsudskiego. Tato czuł się obywatelem Wołynia, choć z pochodzenia był góralem z domieszką greckiej krwi. Urodził się w biednej nowosądeckiej wsi.

Był zdolny, ba utalentowany nawet, ale biedny... Uciekł z domu. Trafił do armii austriackiej, z której przedostał się do Legionów, do legendarnego Wodza, o którym mówiło się, że jest tym, co wskrzesi Polskę po przeszło stuletniej niewoli. A potem były okopy, rany, wszy i głód. Tato z Legionami wywalał Polskę spod zaborów, z Legionami szedł na Kijów w 1920 roku. Z rąk Naczelnika dostał Krzyż Walecznych i ziemię pod sławnym Beresteczkiem na osadzie Ostrowskiej. Był osadnikiem wojskowym i obywatelem Wołynia. Tam

osiadł, żył i pracował. Wołyń - to jego ojczyzna.

W cudownym beresteckim kościele poznał mamę. Spodobali się sobie: mama Stefania Zawadzka - obywatelka na Białym Ługu i tato, Walenty Tais - prosty góral.

Mama była piękna i młoda, ale dziaduniowie uważali, że już najwyższy czas iść pannie za mąż. Miała bowiem dwadzieścia sześć lat. Pozostawała jedyną niezamężną córką. Jej siostry - starsza Marcelina i młodsza Anastazja - od wielu lat były zamężne. Stefania nie podporządkowała się woli rodziców. Była dumna i uparta jak jej ojciec, a nasz dziadunio. Jak na tamte czasy nie należała do potulnych panien. Miała swoje zdanie, i o swoim losie decydować zamierzała sama.

Początkowo zakochał się w niej *deputatczyk*, jak go dziadunio nazwał. Miał wszystko: majątek, wykształcenie i szacunek u ludzi, ale jednej najważniejszej rzeczy mu brakowało: - nie był Polakiem.

Dziadunio wydawał córki za Polaków, był bowiem zdania, że jego wnuki nie będą chrzczone w cerkwi. Miał swój honor i dumę. I choć na co dzień posługiwał się językiem ukraińskim (wynikało to z tego, że otoczeni byli Ukraińcami - służba i najmici to także Ukraińcy), ale wnukowie musieli być Polakami.

Swoje dzieci dziadunio uczył i wychowywał po polsku. A to że w pobliżu nie było polskich szkół, dziadunia stać było na to, by do córek mieć pannę nauczycielkę w domu. W domu zatem uczyły się dziewczynki od „a” do „z”.

Długi czas dziadunio nie zwracał uwagi na Iwasia - *deputatczyka* wpatrującego się w Stefanię. Nie słyszał również jej westchnień i szeptów z siostrami.

Przed kościołem Iwasiu niby to przypadkiem spotykał dziadunia i córki wysiadających z bryczki. Wtedy przed dziadu-

niem czapeczka Iwasia leciała do ziemi w niskim ukłonie. Stefunia rumieniła się i szybko oddychała ze szczęścia. Iwasiu wchodził do kościoła, stawał przy dziaduniowej ławce i ukradkiem spoglądał na panienkę. Spojrzenia ich mówiły więcej niżby wyraziły słowa.

Dziadunio pojął, że sprawa robi się poważna. Wezwał córkę i spytał surowo: „Stefuniu, a czemuż to czapeczka tego *deputatczyka* leci do ziemi jak mnie widzi? Co on robi w kościele, czyżby się przechrzcił?”

Spuściła oczy i nie odpowiedziała. Dziadunio dorzucił:

- Powiedz jemu, że nie ma tu czego szukać - wstał i wyszedł.

Rozplakała się Stefania. Chciała prosić za miłym lecz nie odważyła się. Miała szesnaście lat i serce pełne nadziei, ale z ojcem nie było dyskusji. Popłakała i przebolowała swoją miłość. Ustały „przypadkowe” spotkania i czapeczka ani przed Stefanią ani przed dziaduniem nie „leciała” już w dół.

Skoro dziewczyna wolę bożą czuje, trzeba zatem wydać ją za mąż. Obydwoje z babunią obmyślili, że najlepszym kandydatem na męża będzie wdowiec, obywatel szanowany i bogaty, a to, że ma córki w wieku Stefuni, jest gruby i o pół głowy niższy, nie miało znaczenia.

Zaczął wdowiec przyjeżdżać dwukółką do dziadunia. Najpierw z rzadka, potem coraz częściej i częściej. Stefania drżała. Po każdym wyjeździe wdowca bała się, że ojciec wezwie ją i powie o małżeństwie, oddychała z ulgą gdy do rozmowy nie dochodziło.

Dziadunio wypytywał babunię, co córka myśli o starym (wszyscy go tak nazywali) i martwił się, że zawzięta. Każda próba rozmowy babuni z nią kończyła się stanowczym „nie”. Przeraził się dziadunio, że wiek już panna ma, że ho, ho (osiemnaście lat) i ludzie na języki wezmą.

Wezwał córkę i zakomunikował jej, by szykowała się do spowiedzi i przejrzała wyprawę, a to „pleśnią zajdzie”.

Stefunia odważnie podniosła oczy, spojrzała na ojca i powiedziała, że owszem, pójdzie do spowiedzi, ale będzie to jej ostatnia spowiedź w życiu. Dziadunio wpadł w złość, rzucał się, ciskał i... pojechali „młodzi” do spowiedzi. Spowiedź, rzecz święta, aliści niebawem zajechała księżowska kolaska na dziaduniowy dziedziniec. We dworku zrobiło się cicho, bo ksiądz ani nie uszczypnął Tekluni, ani nie pogłaskał główek młodszych dzieci. Prosto pobiegł do dziaduniowego gabinetu. Słychać było wzburzone głosy: „Dziewczyńska fanaberia i fochy” - krzyczał dziadunio, a ksiądz swoje, że sakrament nie może być zniewoleniem, że to jawny gwałt. Głośno krzyczeli zaciętrzewieni. W końcu ksiądz wybiegł jak furia, wskoczył do kolaski i dobrze przyłożył Bogu ducha winnemu Siwkowi, smacznie jedzącemu obrok.

Babunia przeżegnała się i weszła do dziadunia.

Ksiądz był młody, nieurodziny, lecz duszpasterz doskonały. Mówiło się, że chodzi z sercem na dłoni. Dbał i nie pozwalał krzywdzić swoich parafianek. Mało tego, o dobrą przyszłość dziewcząt zabiegał więcej niż rodzony ojciec. Gromił z amfony „pogański” zwyczaj wydawania córek za tych, co się ojcom podobają i przypochlebić potrafią.

Lecz na co dzień szalała i żartowała z niego był wielki. Nieraz jadąc przez wieś swoim tustym Siwkim, pokrzykiwał do dziewczyn rwących czereśnie w dziaduniowym sadzie:

- Szczęść Boże - a one chórem odpowiadały - Daj Panie Boże.

Hej, młodycie, idę potrzymać wam drabiny, żeby która nie spadła. Zatrzymywał konia i robił ruch, jakby szykował się do skoku. Dziewczyny piszcząc i chichocząc w kulaki owijały się szerokaśnymi spódnicami i ścisnęły je kolanami. Co bardziej płochli-

we zeskakiwały z drabin i chowały się w grzędach. „Starsza” wynosiła księdzu lubiankę czereśni na drogę i ksiądz śmiejąc się z udanego dowcipu jechał dalej.

Babunia zawołała córkę i dziadunio, nie patrząc na zapłakaną dziewczynę, powiedział łagodnie, że jak jej wola taka, to niech nie idzie za „starego”, gospodarka i tu duża i przydadzą się ręce do roboty, bo chłopcy jeszcze mali. Chciała Stefania wyjechać, uczyć się, ale i na to dziadunio nie wyraził zgody. Została więc i pracowała.

Nikt więcej o zamążpójściu nie wspominał. Lata uciekały szybko, coraz szybciej. Tylko czasami, kiedy zbliżało się Boże Narodzenie, dziadunio wzdychał i mówił niby do siebie: „Ho, ho, jak ten czas leci, tak niedawno byłaś tyci - pokazywał ręką jaka to była „tyci”, a to już tyle lat, tyle lat... Stefunia urodziła się w samo Boże Narodzenie - 26 grudnia.

I tak to minęło osiem lat, aż tu zjawił się ułan i po tylu latach zdołał poruszyć serce panny. Była zakochana i z własnej nieprzymuszonej woli wyszła za mąż.

Zamieszkali w Beresteczku w wynajętym domu „Na Piaskach”. Tam przyszli na świat moi bracia: Euzebiusz, Eugeniusz, Emilian. Moja siostra Maria-Magdalena i ja, Felicja-Elżbieta urodziłyśmy się już na osadzie w Ostrowie.

Dom „Na Piaskach” stawał się za mały. Tato na osadzie budował nowy dom, stodołę, oborę, stajnię i zabudowania gospodarcze. Uprawiał ziemię, zakładał pasiekę i sad. Cały majątek obsadził czereśniami i lipami. Sad otoczył płotem, wkopał żywopłot z grabinki i leszczyny. Aleję wjazdową wysadził lipami i akacjami. Drzewa to była jego miłość, jakiś kult. Pracował szybko i sprawnie, chciał aby mama przyjechała na gotowe, aby była panią na swoim. Potrzebni byli parobkowie i dziewczyna do dzieci.

Rodzice byli zamożni, bogaci nawet, ale ciężko na to pracowali. Ja myślałam (kiedy trochę podrosłam i zaczęłam my-

śleć), iż to wszystko, co mieliśmy, było „zawsze”.

Tato, jak większość górali, był wybitnie zdolny manualnie. Potrafił zrobić wszystko, co gdzie zobaczył lub sobie wymyślił. Uwielbiał kwiaty, więc zakładał przepiękne klomby, za które dostawał honorowe wyróżnienia. Rzeźbił, toteż miałyśmy z siostrą najpiękniejsze mebelki w naszym pokoiku. Był mądry i światły. Prenumerował „Plon”, różne pisma i gazety. Do naszych gości zaliczali się ludzie, którzy o niebo wyżej stali od taty pod względem wykształcenia. Przychodzili sąsiedzi - osadnicy zasięgać rad w wielu sprawach; przyjeżdżał kapitan Passendorfer - zwierzchnik osadników; do bardzo częstych gości należał pan kapitan Żechak, profesor gimnazjum. Podczas manewrów wojskowych przebywali u nas wyżsi oficerowie. Zdanie mojego taty, jako wielkiego społecznika, było ważne i ważne.

Z jego inicjatywy powstała piękna szkoła w Ostrowie (jest do dziś). Tato przyczynił się do budowy mleczarni w Pleszowej i tworzył kółka samokształceniowe. U nas, jako u pierwszych osadników, pojawiło się radio - najpierw na słuchawki, a potem „głośnikowe”. Przez szesnaście lat gospodarowania moich rodziców mieliśmy wszystkie maszyny, jakie wówczas znano i potrzebowano w gospodarce: kierat, młockarnia, wialnia, siewnik, wszelkie pługi, kultywatory, brony itd. Nasza pasieka należała do największych w promieniu wielu kilometrów. Nasz piękny, obszerny, nowy dom był na ukończeniu. Gospodarka, jeżeli nie była największa, to na pewno najwspanialej prosperująca. Były czasy, że mieliśmy ponad dwadzieścia sztuk bydła, w tym po kilkanaście dojnych krów. Oczywiście byli służący i parobki, ale rodzice nie zakładali rąk bezczynnie, żeby mieć, trzeba było dobrze wszystkiego dopilnować. Moja mama nie pracowała w polu, ale nigdy nie kładła się pierwsza spać, a wstawała najwcześniej. Miała pełne ręce

roboty. Była nas piątka małych dzieci i olbrzymia gospodarka. Było co robić i czego doglądać.

Tato nie przepił ani nie zmarnował ziemi, którą otrzymał od Naczelnika za walkę o niepodległość, ulepszył ją i doprowadził do rozkwitu.

Jako dzieci osadnika wojskowego mieliśmy przywileje, bowiem szkoły stały dla nas otworem i tato mawiał: „Nie martwię się, za co posyłać dzieci do szkoły, lecz myślę o tym aby chciały się uczyć”.

Mama była świetną gospodynią i doskonałą panią. Umiała i potrafiła pogodzić te dwie role ze sobą. Na wystawach dostawała nagrody za najdorodniejsze bydło i najlepsze masło.

Tato miał szeroki gest. Moi wujowie wyrzucali mu, że brał furę zboża i jechał do Spały na dożynki i spotkanie z Komendantem. Tak robił, lecz nie było to z uszczerbkiem dla nas. Z domu rodzinnego niczego nie dostał, nie było co dzielić, a tego co mu się należało zrzekł się na korzyść matki. Wszystko co miał, zawdzięczał ukochanemu Marszałkowi, który potrafił docenić poświęcenie i przelaną krew. Marszałek Piłsudski był jego Wodzem, Miłością, Idolem. Tej miłości do Komendanta nauczył nas, dzieci. „Dziadka” kochaliśmy bezkrytycznie, jak tylko dzieci potrafią kochać. Żaden z „wodzów” po wojnie nie cieszył się nawet w setnej części taką czcią i szacunkiem jak Marszałek. Kiedy nas wywożono, portret Naczelnika z tatowego biurka pojechał z nami na Sybir.

Przed wojną niczego nam nie brakowało, na niczym nie zbywało. Pamiętam, jak mama mówiła do sąsiedzkich dzieci: „Zróbcie masło, to dam wam po oselce”. Nam nie chciało się robić masła, bo wszystkiego mieliśmy w bród.

Jeszcze nie chodziłam do szkoły, więc długo z wieczora nie szłam spać, lubiłam z mamą „piec” ciasteczka i robić porządku. Rano spałam tak długo jak chciałam. Wstawałam około południa i byłam zła, że nikt

na moje wołanie nie odpowiada. O tej porze wszyscy pracowali, nikogo nie było w domu, prócz mnie - „pańskiego dziecka”. Rodzeństwo od rana było w szkole, tato razem z „ludźmi” w polu lub w obejściu, a mama z dziewczynami w ogrodzie. Tylko ja spałam. Wychodziłam na ganek w swojej długiej do ziemi koszulince i patrzyłam jak przed stodołą, z dala od domu, tato wiruje miód. Dzieci sąsiadów z kubeczkami na paluszkach stoją przy płocie nieopodal i czekają, aż tato da im miodu. Byłam „ważna”, bo to „mój” miód się wirował. Podchodziłam do dzieci i ze złością szeptałam (żeby tato nie słyszał) - „wynoście się stąd, to mój tato wiruje miód” - ale tato nie żałował dzieciom miodu, każdemu nalał do kubeczka.

Mieliśmy olbrzymią pasiekę. Kwitł i owocował przeszło dwuhektarowy sad, w którym rosły wszystkie owocowe drzewa, jakie wówczas znano w Polsce. Cały majątek obsadzony był lipami i czereśniami. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni coś kwitło i rozsiewało aromat. Najwcześniej jabłonie, wiśnie, grusze i czereśnie, później krzewy agrestu i porzeczek, po nich kwitł bez, roznosił swój cudowny zapach wokół domu, zaglądał w zawsze otwarte okna. Kończył się bez, to znów wybuchały białymi jak śnieg kwiatami akacje. Wtedy bracia mówili: „Kwitną akacje, czas na wakacje”. Po akacjach - lipy, a na polach delikatnie różowa gryka, koniczyna, złocisty rzepak i łąki - a wszystko zdrowe i czyste. Jakże więc można było nie mieć pasieki?

Tak więc moje cudowne dzieciństwo płynęło miodem i mlekiem, niczego nie brakowało. Ten okres kojarzy mi się wyłącznie ze słońcem, cudownym aromatem kwiatów i złocistym miodem. Nasi mądrzy i dobrzy rodzice otoczyli nas miłością i dobrobytem.

W naszym domu nie bito dzieci bez „rozumu i pamięci”, jak mówiła mama. Tato żadnej z nas nigdy nie uderzył. Karał synów ale mądrze i sprawiedliwie. Mówiło się, że

dobrze jest „podpedzić” rozum nieco wyżej, bo zbyt często spada w dół. Kiedy napsociłam i bałam się klęczenia, tuliłam się do mamy i pytałam: „Nie trzeba rozumu podpedzić, nie trzeba?” i tym rozbrajałam mamę. Moi bracia bywali szaleni. Potrafiliby niemal do upadłego zajeżdżać konie, ślizgać się na rzece ledwo ściętej lodem. Skakali do zdradliwego Styru nie bacząc na wiry i wglębenia.



Maria i Felicia

Pamiętam płynięśmy łodzią i z zamyślenia wyrwały mamę głosy moich braci, którzy wołali: „Mamo, który prędzej do Bozi” i... skryły ich fale Styru. Sparaliżowana przerażeniem mama zanim zdołała zawołać o pomoc, ujrzała ich, jak siedzieli z szeroko rozdziawionymi od śmiechu

gębami na drugim brzegu rzeki.

Emil „połykał” książki, ale nie wychodziło to na dobre mnie i Marysi, gdyż po przeczytaniu nowej książki stawał się jej głównym bohaterem. My natomiast byłyśmy brankami, niewolnicami lub bladymi twarzami.

Kiedyś całą trójką ganiałiśmy się po stodole. Emil był Apaczem, łapał blade twarze, by je oskalpować i palił tatową fajkę, która później miała być fajką pokoju. Gonił nas, wymachiwał tomahawkim, a my uciekałyśmy i kryłyśmy się gdzie się dało z przeraźliwym wrzaskiem, jakby już nas obdzierano ze skóry. Tato wpadł do stodoły i „czerwonoskóry” wcisnął zapaloną fajkę w snopy. Ze stodoły byliśmy przepędzeni, ale w zbożu została fajka. Cud lub przypadek, że zgasła. Wydało się to dopiero wtedy, gdy tato chciał zapalić. Oczywiście Emil dostał lanie, a my klęczałyśmy przed obrazami na ziarnach.

Mama nasza uczyła nas dobroci i godności. Zawsze podkreślała, że nikomu i niczemu krzywdy robić nie wolno.

W takiej rodzinie przyszedł na świat, w najpiękniejszym miesiącu - drugiego maja.

Kochano mnie bardzo i rozpieszczano, chyba w myśl powiedzenia, że najmłodsze dziecko kocha się najbardziej. Rozpieszczali mnie wszyscy: rodzice, rodzeństwo, dziewczyny i parobkowie. Nazywano mnie „pańskim dzieckiem”, a ponieważ podobało mi się to, więc sama się tak nazywałam.

W piękny ciepły dzień (przed wojną dni zawsze były piękne i słoneczne), przyszedł tato i przyniósł na moje urodziny horoskop od pani Żechakowej. Posadził mnie na kolanach i przeczytał z dumą, że „kto urodził się w maju przed wielkim świętem, będzie piękny i szczęśliwy i wyróżnie na pociechę światu”.

Wszyscy mnie całowali, głaskali po jasnych włoskach i przytakiwali: „To prawda, to prawda”, a Hanka, mamina służąca huštała mnie i mówiła: *Jakaż ona choroszeńka, jakaż myleńka.*

Byłam szczęśliwa i dumna, obsypana prezentami i dobrymi życzeniami.

Od mojego kochanego Euzebiusza dostałam najpiękniejszą chorągiewkę na święto Konstytucji 3 Maja. Czyż nie urodziłam się przed wielkim świętem?

Niedługo potem zmieniło się wszystko...

Wybuchła wojna...

Byłam głodna i opuszczona, samotna, niezrozumiana, bezsilna i ponizona. Byłam posądzana i zastraszana. Trapiły mnie choroby i smutek. Chciałam, żyć - żebrałam i kradłam. Chciałam się uczyć - nie wróciłam do mamy. W wojennej tułaczce zgubił się mój cudowny miesiąc maj, z metryki wyleciała moja ojczyzna.

Przestałam wierzyć w horoskopy...

Ciąg dalszy w następnym biuletynie.